

Komisji Egzaminów Dyplomowych prof. Wł. Trzebiatowski ustalił termin na 6 i 7 lipca (tak odległy, by mogło zgłosić się jeszcze przynajmniej kilku kolegów). Egzaminy dyplomowe odbywały się wtedy przed całą Radą Wydziału i w obecności wszystkich chętnych „wizdów”. Zdawało nas dwunastu z Oddziału Chemii Technicznej: 6 lipca dziesięciu kolegów — organików, a 7 lipca dwóch — nieorganików. Wszyscy zdali, chociaż nie było to takie proste, bo praktycznie każdy z członków Rady zadawał pytania. Wracając jeszcze do rywalizacji. Mimo dobrej znajomości charakteru prof. Trzebiatowskiego i Jego czasem dość zaskakujących pociągnięć, zarówno ja, jak i kol. Terpiłowski, otrzymaliśmy dyplomy z numerem pierwszym. Dlaczego akuratnie tak się stało? Otóż od października 1950 roku miał nastąpić podział wspólnej Uczelni na osobno działającą Politechnikę i osobno działający Uniwersytet, z jednoczesnym wydzieleniem i innych uczelni. Biorąc to pod uwagę, prof. Trzebiatowski zapoczątkował numerację dyplomów na Wydziale Chemicznym Politechniki i na Wydziale Mat.-Fiz.-Chem. Uniwersytetu. Obaj konkurenci, jak i całe grono kibiców zostali w ten sposób całkowicie usatysfakcjonowani. W tym czasie byłem już żonaty i miałem syna (urodzony 22 kwietnia 1950 roku). Po mianowaniu mnie z dniem 1 września 1950 roku starszym asystentem wkroczyłem na drogę kariery naukowej.

Zdzisław Ruziewicz

Urywki wspomnień 1946–1948

Krótką noc letnia kończyła się. Stawało się coraz jaśniej, otworzyłem oczy. Był to niemal jedyny ruch, jaki mogłem wykonać. Kilkanaście godzin wcześniej zająłem na dworcu krakowskim zupełnie wygodne miejsce w pociągu do Wrocławia — usiadłem na walizce postawionej pomiędzy ławkami przedziału, który zajmowało najwyżej dziesięć osób. Później przybyło ich więcej, ale naprawdę ciasno zrobiło się dopiero nocą, gdy pociąg dowlókł się do górnośląskich miast i na każdym przystanku dosiadali, oczywiście już tylko przez okna, nowi pasażerowie. Na ogół nie protestowano, gdy, przeczołgawszy się po ramionach swych poprzedników, wypełniali ostatnie — wydawałoby się dawno już nie istniejące — luki pomiędzy majaczącymi w mroku postaciami podróżnych. Osobiście zgłosiłem tylko pretensję pod adresem jakiejś pani, wchodząc przez okno naszego przedziału chyba w Gliwicach, stanęła francuskim obcasikiem na moim karku, tuż u nasady czaszki; drzemałem wtedy z pochyloną na kolana głową, zaklinowany w tłoku tak, że nie mogłem nawet uchylić się. Na szczęście pani nie była widać zbyt ciężka, bo kark przez tę chwilę wytrzymał.

Gdzieś w okolicach Opola dopływ pasażerów skończył się. Nie pozbawiony emocji był jeszcze przejazd przez długi, prowizoryczny most, który wyczuwalnie ugiął się i poskrzypywał pod ciężarem

pełnącego po nim pociągu. Wczesnym ranem stanęliśmy na Dworcu Głównym. Moja pierwsza podróż do Wrocławia, na początku lipca 1946 roku, dobiegła końca.

*

We Wrocławiu miałem widoki na otrzymanie pracy, która pozwoliłaby mi jednocześnie kontynuować studia chemiczne. Rozpocząłem je jeszcze w czasie okupacji na tajnym Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończyłem w roku akademickim 1945–1946 trzy trymestry. Dalsze perspektywy rysowały się raczej niewyraźnie; ze stypendium wynoszącego 500 zł miesięcznie prawie połowę pochłaniały obiady w stołówce akademickiej, a setka bardzo złych papierosów Wolność kosztowała wówczas dwieście złotych. Pod koniec letniego trymestru spotkałem na ulicy Długiej profesora Trzebiatowskiego, który znał mnie z okresu studiów lwowskich i u którego zdałem wówczas egzamin z chemii nieorganicznej. Profesor objął już w 1945 r. katedrę we Wrocławiu. Krótka rozmowa zakończył słowami: *No to niechże Pan przyjeżdża do Wrocławia, coś dla Pana znajdziemy*. Tak więc już następnego dnia po przyjeździe zameldowałem się u Profesora, w Gmachu Chemii przy ul. Smoluchowskiego. Po dziewiętnastowiecznym, niskim budynku chemii UJ, pamiętającym czasy Czarniańskiego i Olszewskiego, ten wydał mi się przestronny, nowoczesny, niemal wspaniały. Fasada była gęsto pokryta śladami pocisków, ale gmach był już całkowicie oszklony, dachy miał naprawione. Wewnątrz też panował ład i tętniła normalna praca, przynajmniej w lwiej części pomieszczeń zajmowanych przez Zakład Chemii Nieorganicznej, Zakład Chemii Organicznej profesora Suchardy i Zakład Chemii Ogólnej II, kierowany przez profesora Henryka Kuczyńskiego. Był to rezultat trzynastu miesięcy, które upłynęły od objęcia gmachu przez polskie władze akademickie; w owych miesiącach spora gromada słuchaczy ukończyła już w tych murach pierwszy rok studiów chemicznych.

Profesor Trzebiatowski zaofiarował mi etat demonstratora w nieczynnym jeszcze Zakładzie Chemii Fizycznej, którym opiekował się

tymczasowo jako p.o. kierownika. Był to na razie (i jeszcze przez następne dwa lata) jedyny obsadzony etat w tym Zakładzie. Znalazłem się w ten sposób na liście *pomocniczych sil naukowych*, jak brzmiał wówczas używany oficjalnie termin.

W ciągu dwóch następnych dni stałem się zarówno posiadaczem tymczasowego zaświadczenia, że jestem studentem Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, jak i Rozkazu Wyjazdu stwierdzającego, iż będąc pracownikiem tej Uczelni (właściwie miałem nim być dopiero od 1. sierpnia) udaję się do Krakowa i z powrotem w sprawach służbowych, wobec czego *uprasza się wszystkie Władze Wojskowe i Cywilne* o okazanie mi wszelkiej pomocy w podróży. Ten dokument, z reguły zresztą wydawany w owych czasach wyjeżdżającym pracownikom, miał mi ułatwić dojechanie do Wrocławia z kilkunastoma pakami domowego dobytku i książek, które zabrałem ze Lwowa wsiadając wraz z moją Matką w listopadzie 1945 r. do wagonów towarowych, stanowiących tak zwany transport repatriacyjny.

Załatwianie spraw związanych z przyjęciem na studia i do pracy odbyło się szybko i przyjemnie; formalności były ograniczone do minimum, biurokracja na Uczelni jeszcze nie istniała. Do zapisania się na studia wystarczyła notatka wręczona mi przez Trzebiatowskiego — o świadectwo maturalne upomniał się dziekanat dopiero przed egzaminem magisterskim. W pamięci pozostały mi obligatoryjne, krótkie, ale ogromnie miłe, rozmowy z dziekanem Wydziału, profesorem Steinhausem, i rektorem Uniwersytetu i Politechniki, profesorem Kulczyńskim.

Trudniejszą sprawą okazało się znalezienie jakiegoś lokum. Sytuacja mieszkaniowa we Wrocławiu przedstawiała się latem 1946 r. już inaczej, niż przed rokiem. Nie zajęte były tylko ostatnie, zupełnie zrujnowane i wyszabrowane jednorodzinne domki oraz nieliczne mieszkania w ocalałych kamienicach, przeważnie prawie puste i także w bardzo złym stanie. Nie mogąc znaleźć w krótkim czasie niczego w miarę przyzwoitego, podnająłem w starej kamienicy przy ul. Matejki przydzielone już komuś, ale chwilowo nie zamieszkanе, pokoje, w których mogłem złożyć skrzynie i spać na jakimś pozostawionym łóżku. Załatwiwszy tak najważniejsze spra-

wy, pojechałem po rzeczy do Krakowa. Matka pozostała tam u przyjaciół do czasu, kiedy uzyskałem (dopiero jesienią) łyche wprawdzie, ale własne mieszkanie we Wrocławiu.

Mała odyseja, jaką była kilkudniowa wędrówka wagonem towarowym wypełnionym dobytkiem dwóch rodzin, godna byłaby osobnego opisu. Do Brochowa dojechalśmy w każdym razie wraz z wagonami wiozącymi Panoramę Raclawicką. W trzy dni później samochód ciężarowy Politechniki, używany przez ówczesnego szefa intendencji p. Pałkę, przewiózł moje skrzynie na ulicę Matejki. Jeszcze przed 1. sierpnia zgłosiłem się do pracy.

*

Każdemu nowemu współpracownikowi wręczał profesor Trzebiatowski klucz do bramy prowadzącej z ulicy Smoluchowskiego do budynku chemicznego (brama była stale zamknięta, a budynek nie miał portiera) i klucz do biblioteki wydziałowej znajdującej się w nim na II piętrze. Umożliwiając o każdej porze dostęp do gmachu i biblioteki, były one dla mnie prawdziwymi *Kluczami Królestwa*. Po kilku latach, gdy liczba pracowników znacznie się powiększyła, a Uczelnię opasywał coraz ciasniejszy gorset różnych przepisów porządkowych, poodbierano je oczywiście. Wryły mi się jednak w pamięć szczególnie mocno; chyba nigdy już potem, będąc nawet profesorem i członkiem Senatu Politechniki, nie czułem się w takim stopniu jej współgospodarzem jak wówczas, kiedy mając dwadzieścia parę lat wyjmowałem z najgłębszej kieszeni owa dwa klucze.

*

Znalazłem się na początku w gronie współpracowników Zakładu Chemii Nieorganicznej, wówczas jeszcze bardzo nielicznym, sympatycznym i zżyтым ze sobą. Seniorami byli w nim dr Jadwiga Wojciechowska, chyba najbieglejsza chemiczka-analityczka, jaką kiedykolwiek poznałem, i adiunkt dr Wiktor Gorzelany, były starszy asystent Zakładu Chemii Nieorganicznej UJK, zawsze elegancki, o nieco sarkastycznym humorze. Asystentów Wład-

ysława Barana i Alfreda Śliwę znałem jeszcze ze Lwowa; pełni werwy, zajęci byli swymi pracami magisterskimi, które wojna opóźniła o sześć lat. Tuż po mnie zostali przyjęci na asystentury mgr Zofia Przybylska i niezmiennie spokojny w każdych okolicznościach Aleksy Kamiński. Najmłodszym (prócz mnie) członkiem zespołu była Jadwiga Kornecka, której przypadł niełatwy obowiązek przygotowywania i wykonywania demonstracji do wykładów chemii nieorganicznej. Kosztowało to ją sporo wysiłku i napięć. Sławny był przypadek, kiedy stłukła wręczoną jej przez Trzebiatowskiego przed wykładem ampulkę z ciężką wodą, niewątpliwie jedyną wtedy we Wrocławiu. Profesor miał tylko spojrzeć na nieszczęsną demonstratorkę, po czym odwrócił się i odszedł. Jadzia chodziła z płaczem przez dwa dni opowiadając każdemu, że wolałaby, aby zbeształ ją w najgorszy sposób, niż tak na nią popatrył.

Zespół ten uzupełniali dwaj starszawi już laboranci — Józef Greń, po trochu także mechanik, i Jan Perczak. W warsztacie mechanicznym, o którego funkcjonowanie i rozwój Trzebiatowski szczególnie dbał, działał początkowo niemiecki mechanik precyzyjny Geselle, a po jego rychłym wyjeździe — wybitny fachowiec, Jakub Tomasik, poprzednio mechanik Zakładu Fizyki Eksperymentalnej UJK.

W Zakładzie trwały intensywne prace organizacyjne; naprawiano, konstruowano i uruchamiano stopniowo aparaturę naukową, kończono porządkowanie remanentów ponemieckich. Mnie przypadło najpierw w udziale inwentaryzowanie bogatych zapasów jenajskiego szkła laboratoryjnego, które uchowało się w piwnicach przed zniszczeniem. Profesor, dogładający osobiście wszystkiego, nie omieszkował sprawdzać wyrywkowo, czy aby nie pomyliłem się zapisując na przykład liczbę litrowych kolb miarowych. Na pewno nigdzie w Polsce studenci (ani też pracownicy) nie dysponowali w owym czasie sprzętem szklanym takiej jakości, jak we Wrocławiu. Niestety szkło, jak wiadomo, tłucze się i po paru latach ze skarbów tych ocalały tylko resztki ukrywane zazdrośnie w szafach przez szczęśliwych posiadaczy.

Po rozpoczęciu roku akademickiego 1946–1947 zajęć przybyło — pracownicy Zakładu prowadzili pracownie chemii analitycznej dla

II roku i dla nowo przyjętych studentów I roku chemii. Pomagałem i ja przy tych ćwiczeniach, na których siał największy strach najbardziej lubiany przez studentów Władek Baran.

Trzebiatowski przestrzegał dość rygorystycznie zasady, iż pensum asystenckie określone w umowach o pracę (podówczas 30 godzin tygodniowo) winno być wykorzystane na zajęcia dydaktyczne i organizacyjne. Na własną pracę czy lekturę naukową (a w moim przypadku na studia) pozostawały godziny poza owym pensum, toteż przebywaliśmy w Zakładzie — podobnie zresztą jak Profesor — najczęściej cały dzień, do późnego nieraz wieczora. Konieczność taka była wówczas niemal dla wszystkich oczywista. Spędzanie godzin popołudniowych i wieczornych w laboratoriach przez większość dni tygodnia stało się zresztą we wszystkich zakładach chemicznych nawykiem i tradycją. Oświetlone długo po zapadnięciu zmroku okna starego gmachu przy ul. Smoluchowskiego i sąsiadującego z nim od 1951 r. budynku Nowej Chemii były widokiem codziennym aż po lata siedemdziesiąte, kiedy zaczęły stopniowo gasnąć wraz z innymi tradycjami Uczelni.

Cezurą rozdzielającą dzień na dwie części był spacer na obiad do stołówki pracowniczej mieszczącej się w niedużej willi przy ul. Dicksteina. Zażywna szefowa, pochodząca zapewne z Małopolski Wschodniej, karmiła nas najczęściej smacznymi pierogami i knedlami różnego rodzaju. W 1947 r. otwarto znacznie większą stołówkę przy ul. Bartla, w budynku zajęтым później przez przedszkole Politechniki.

Od czasu do czasu konieczne były dalsze przedpołudniowe spacerunki do gmachu Uniwersytetu, gdyż początkowo tam tylko wypłacano pobory, wydawano kartki żywnościowe czy — z rzadka — paczki UNRRA albo jakieś dodatkowe przydziały. Były to z reguły właśnie spacerunki, gdyż w 1946 r. dojeżdżało się z Politechniki do Uniwersytetu dwiema liniami tramwajowymi, z przesiadką koło Dworca Nadodrze, co trwało blisko godzinę; most Grunwaldzki, uszkodzony i podparty barkami, był nieprzejezdny. Zazwyczaj szło się więc nadbrzeżem Odry do dostępnego tylko dla pieszych mostu Wojewódzkiego (na miejscu którego stoi dziś most Pokoju) i przekroczywszy nim rzekę dochodziło już rychło do Uniwersytetu.

Po pewnym czasie została uruchomiona filia kwestury w gmachu Politechniki i owe czasochłonne wyprawy stały się zbyteczne.

*

W pierwszych wrocławskich latach odczuwało się bardzo wyraźnie, że Uczelnia była jedną z najważniejszych instytucji miasta, obiektem życzliwego zainteresowania jego władz i chyba przedmiotem pewnej dumy mieszkańców. Na niebieskawe czapki studenckie (wtedy jeszcze noszone) spoglądano na ulicy z nieklamana sympatią. Legitymacja pracownika Uczelni ułatwiała w pewnym stopniu załatwienie sprawy w urzędzie mieszkaniowym czy likwidacyjnym. Nawet sklepikarka, która dowiedziała się, iż młody człowiek kupujący u niej zazwyczaj pół bochenka chleba i dziesięć deka masła jest aż... zastępcą asystenta na Uniwersytecie, traktowała go jak lepszego klienta.

Popularnością cieszyły się rozmaite imprezy studenckie. Urządzane przez AZS regaty wioślarskie ściągały na Wybrzeże Wyspiańskiego i pobliskie wały Odry nie tylko studentów, ale tłumy kibiców z całego miasta. W sezonach karnawałowych 1947–1949 szukano gorączkowo znajomości, by dostać kartę wstępu na Bal Architektury, najwytworniejszy z wielkich bali studenckich, organizowanych zazwyczaj w auli Politechniki i przyległych do niej salach; umiętne ręce dekoratorów zmieniały je na jedną noc do niepoznania.

*

Połączenie we Wrocławiu Uniwersytetu i Politechniki w jedną uczelnię nie przejawiało się niewątpliwie nigdzie tak wyraźnie, jak na studiach chemicznych. Uniwersytecki i politechniczny kierunek tych studiów jednoczył już formalnie Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii z Oddziałem Chemii Technicznej. Znacznie istotniejsze było to, że studenci obu kierunków słuchali razem tych samych podstawowych wykładów — matematyki, fizyki, mineralogii, chemii nieorganicznej, organicznej i fizycznej, a także ogólnej technologii chemicznej. Pozwalało to nie tylko najoszczędniej wykorzystać znakomitą, ale szczupłą jeszcze kadrę profesorską tudzież ograni-

czoną liczbę sal wykładowych, lecz zapewniało też wszystkim słuchaczom to samo szerokie, fundamentalne wykształcenie chemiczne, przydatne bez względu na późniejszą specjalizację czy dziedzinę pracy. Oczywiście kolegów z chemii technicznej obowiązywały też takie przedmioty, jak rysunek techniczny czy maszynoznawstwo chemiczne, a na wyższych latach technologie specjalne. Nas natomiast — główne zasady nauk filozoficznych, obejmujące elementy logiki matematycznej i metodologii nauk (wraz ze studentami matematyki i fizyki słuchaliśmy wykładu prof. Słupeckiego) oraz krystalografia i pewna liczba godzin wykładów fakultatywnych.

Bardzo duży nacisk położony był na zajęcia laboratoryjne. Obowiązywały one w znacznie większych wymiarach godzin niż w późniejszych programach Wydziału Chemicznego Politechniki, które przyniosły wyraźne zwerbalizowanie studiów, nie mówiąc już o obowiązkowych przedmiotach pochłaniających sporo godzin, a nie mających ze studiami chemicznymi nic wspólnego. Zapoznawszy się z górą ćwierć wieku po dyplomie z kształceniem chemików w jednym z najlepszych na świecie ośrodków politechnicznych, a mianowicie na Politechnice Związkowej (E. T. H.) w Zurychu, znalazłem potwierdzenie mej opinii, że ów program wrocławski z lat 1946–1950 był w swych założeniach (nacisk na szeroko ujęte podstawowe dyscypliny chemiczne i ćwiczenia laboratoryjne) bardziej racjonalny i nowoczesny niż następne, zmieniane w dodatku niemal co roku.

Ogromna większość mych kolegów studiujących wtedy chemię chciała i umiała studiować. Wybrany kierunek naprawdę ich interesował, a w możliwie szybkim uzyskaniu dyplomu widzieli szansę rychlejszego osiągnięcia jakiejś pozycji i stabilizacji życiowej. W ówczesnych warunkach rachuby te były całkowicie uzasadnione. Toteż frekwencja na wykładach była bardzo wysoka, choć nikomu nie śniły się listy obecności, a laboratoria studenckie były pełne także w godzinach nadliczbowych. Niektórzy koledzy nie tylko notowali, ale potrafili stenografować wykłady, dzięki czemu powstawały pierwsze skrypty (np. chemii nieorganicznej), wydawane przez bardzo aktywne Koło Chemików pod auspicjami Bratniej Pomocy Studentów. Podręczników polskich brakowało, jednakże

wielu znało na tyle obce języki, by uczyć się z niemieckich i mniej wtedy pospolitych, przywiezionych do Wrocławia, rosyjskich. Szytywne terminy sesji egzaminacyjnych nie istniały, chociaż do wpisu na wyższy rok były wymagane — bardziej rygorystycznie na chemii technicznej — określone zaliczenia i zdane egzaminy. Terminy ich ustalaliśmy indywidualnie z profesorami; większość ich pytała nie więcej niż kilku studentów dziennie, ale były to egzaminy bardzo wnikliwe, trwające zwykle około godziny, a czasem i parę godzin. Szybkie wyjście studenta oznaczało z reguły konieczność powrotu na egzamin poprawkowy. Z egzaminatorów, z którymi zetknąłem się, błyskawicznie odpytywał tylko dobrotliwy mineralog, profesor Maślankiewicz. Sadzał np. ośmiu studentów półkolem i zadawał każdemu po kolei jedno krótkie pytanie, po czym przebiegał pytaniami owo półkole w przeciwnym kierunku; każdy odpowiadał więc na dwa pytania i po pół godzinie uradowana gromadka wychodziła, przeważnie z ocenami dobrymi i bardzo dobrymi. Ale i do tego egzaminu nikt nie uczył się krócej niż dwa tygodnie. Do chemii nieorganicznej, organicznej, czy później fizycznej, przygotowaliśmy się miesiącami.

Niezależnie jednak od stawianych wymagań studenci odczuwali — i w pełni doceniali — życzliwość i zainteresowanie ze strony profesorów i asystentów. Na młodej Uczelni, uruchomionej wśród gruzów Wrocławia ogromnym wysiłkiem pracowników i studentów, zakorzeniło się bardzo mocne poczucie wspólnoty akademickiej. Zgrzytów, które pojawiły się z początkiem lat pięćdziesiątych, nic jeszcze nie zdawało się zapowiadać.

*

Na teren Zakładu Chemii Fizycznej, którego pracownikiem byłem dotąd formalnie, skierował mnie Trzebiatowski wiosną 1947 roku, gdy minęła wyjątkowo mroźna i długa zima. Miałem zająć się przede wszystkim uporządkowaniem remanentów Zakładu i sporządzeniem inwentarza. Dla jednej osoby była to praca niemała, ale właśnie dlatego, że miałem wykonać ją sam, dawała mi perspektywę pewnej swobody i samodzielności działania. Pełen więc zapału i ciekawości przekroczyłem progi, które miałem przekraczać

— o czym wtedy nie myślałem — przez kilkadziesiąt następnych lat.

Zakład Chemii Fizycznej mieścił się tam, gdzie do dziś dnia znajduje się na Politechnice większa jego część, to jest w graniczącym z ulicą Łukasiewicza skrzydle Starego Gmachu Chemii, na drugim i trzecim piętrze. Na drugim do Zakładu należały — prócz dzisiejszych pomieszczeń — sala wykładowa (obecnie czytelnia biblioteki chemicznej) oraz przynależny do niej pokój przygotowawczy i sala zbiorów, zaanektowane w r. 1972 przez sąsiedni instytut. Prócz tego Zakład posiadał laboratorium niskich temperatur zajmujące osobny pawilon w podwórzu Politechniki, obok gmachu chemicznego.

Korytarz drugiego piętra biegnący równoległe do ulicy Łukasiewicza kończył się pomieszczeniem warsztatu mechanicznego; nie istniało oczywiście obecne przejście do budynku Nowej Chemii, który wzniesiono dopiero w kilka lat później. Warsztat był jedyną czynną już po części komórką Zakładu. Gospodarzył w nim z górami siedemdziesięcioletni mechanik Hermann Schlosser, który jako autochon (pochodził z rodziny osiadłej w Wielkopolsce) pozostał na miejscu swej dotychczasowej pracy. Mówił niezłe łamaną polszczyzną, nie bez pewnej nawet inwencji, bo np. miedź (niem. Kupfer) nazywał kuprowiną. Odpowiedź *nimasz takich materialiów*, jakiej udzielał, gdy brakowało mu odpowiednich materiałów do wykonania czegoś, stała się później w Zakładzie przysłowiowa. Mimo owych braków i skrajnie skromnego wyposażenia warsztatu, naprawiał umiejętnie jeszcze przez kilka lat starą aparaturę, a także wykonał niejeden nowy jej element.

Pozostałe pomieszczenia Zakładu były dotąd tylko prowizorycznie uprzątnięte, oszklone i pozamykane. Uzbrojony w pęk kluczy zacząłem je pewnego dnia obchodzić. W jakim takim porządku znajdował się duży gabinet profesorski (obrałem go na swą główną kwaterę) i przyległy doń pokoik sekretariatu. Sala ćwiczeń na III piętrze znajdowała się też w niezłym stanie, choć nie było w niej niemal niczego prócz stołków i stołów laboratoryjnych. Natomiast w szafach i na podłodze sali zbiorów leżały w nieładzie najrozmaitsze przyrządy i ich części, a w pracowniach na II i III piętrze panował zupełny chaos: zsunięte jak bądź albo przewrócone meble,

resztki zniszczonej aparatury, porozrzucane przyrządy. Z porzbijanych pomp dyfuzyjnych wypłynęła rtęć, która utworzyła na podłogach kilku pokoi srebrzyste jeziora. Przez długie tygodnie starałem się zaprowadzić w tym wszystkim jakiś ład. Rtęć zbierałem szufelką i wlewałem do słoików — wystarczyło jej później, po oczyszczeniu, na wiele lat pracy Zakładu; drobne kuleczki wyławiałem skrawkami blachy ołowianej, do której przyczepiały się tworząc amalgamat. Ustawiłem szafy i szafki, stopniowo zapełniając je posegregowanymi drobiazgami. Sporo czasu zajęło to porządkowanie zbiorów, przypominające trochę układankę, w której trzeba wielokrotnie przesuwac numerowane kwadraciki, aby wreszcie ułożyć je we właściwej kolejności.

W końcu mogłem przystąpić do inwentaryzacji. Cenna aparatura zniknęła gdzieś z Zakładu w czasie działań wojennych czy tuż po ich zakończeniu. Z ponad trzystu pozycji działu aparaturowego część tylko stanowiły przyrządy pomiarowe, w większości zresztą przestarzałe i często wymagające naprawy. Reszta obejmowała elementy aparatury elektrycznej i optycznej, jak opornice, motorki, ławy optyczne, soczewki itp. Czasami trudno mi było określić właściwe przeznaczenie nietypowych i zdekompletowanych przyrządów. Niektóre zapisy jakie poczyniłem w księdze inwentarzowej brzmiały więc dość enigmatycznie, jak na przykład „przyrząd nieznan z nicią torsyjną” albo „przyrząd optyczny z lusterkami, niekompletny”.

Z początkiem roku akademickiego 1947–1948 spytał mnie Trzebiatowski, czy chciałbym pracować w przyszłości w dziedzinie chemii nieorganicznej, czy też poświęcić się chemii fizycznej. Miałem już wówczas za sobą parę egzaminów i dość skryształizowane zainteresowania, choć systematycznego kursu chemii fizycznej jeszcze nie przechodziłem; bez wahania wybrałem drugą możliwość. Dowiedziałem się wówczas, że moim najbliższym zadaniem będzie uruchomienie fizykochemicznej pracowni studenckiej na tyle, aby studenci III roku chemii mogli odrobić w letnim semestrze podstawowe ćwiczenia laboratoryjne. Katedra Chemii Fizycznej wciąż jeszcze była nieobsadzona, jednakże Trzebiatowski prowadził w zastępstwie, od letniego semestru 1946–1947, trójsemestralny wykład tego przedmiotu.

Wyposażenie Zakładu w przyrządy było wprawdzie skromne, ale wraz z pewnym zapasem odczynników i szkła laboratoryjnego pozwalało przystąpić do kompletowania zestawów ćwiczeniowych. Trochę brakujących, a niezbędnych przyborów — stoper, odważniki analityczne, kilka mierników elektrycznych i przenośnych akumulatorów, zostało od ręki zakupionych w istniejących wówczas we Wrocławiu prywatnych firmach. Dziesięć ćwiczeń, stosunkowo łatwych do uruchomienia, wybrałem na podstawie podręczników Świętosławskiego i Centnerszvera oraz Euckena i Suhrmana. Odpowiadały one nieźle środkom, którymi dysponowałem, gdyż pierwszy, pochodzący jeszcze z 1920 r., opisywał ćwiczenia wykonywane za pomocą bardzo prostej aparatury, drugi zaś opracowany był w latach trzydziestych właśnie w laboratorium wrocławskim. Praca posuwała się dość powoli — dopiero w trakcie jej nabywałem pierwszych doświadczeń w pomiarach fizykochemicznych. W końcowym etapie przygotowań pomógł mi wydatnie mgr A. Kamiński, chwilowo oddelegowany w tym celu na chemię fizyczną. Ostatecznie zestawy były gotowe na czas i koledzy z III roku przeszli nieco skrócony kurs ćwiczeń laboratoryjnych jeszcze przed końcem semestru.

*

Rok 1948 upamiętnił się we Wrocławiu otwartą w lipcu Wystawą Ziem Odzyskanych. Ważniejsze od samej wystawy były dla miasta przygotowania, które ją poprzedziły. Nigdy przedtem ani potem nie widział Wrocław tak efektywnych prac porządkowych prowadzonych w takim tempie. Przynajmniej ze śródmieścia i okolicy terenów wystawowych usunięto ogromne ilości gruzu i śmieci. Naprawiono most Grunwaldzki. Uruchomiono nowe linie tramwajowe, którymi mknęły świeżo pomalowane wozy. Oporządzano pasy zieleni, po raz pierwszy uporządkowano piękny, ale dotychczas zapuszczony, park Szczytnicki. Poprawiło się oświetlenie ulic, a nawet oświetlono przyległe do wystawy tereny nad Odrą. Zwiększyła się liczba sklepów, pootwierano (niestety, przeważnie na krótko) małe kawiarenki. Pomimo istnienia jeszcze całkiem znisz-

czonych dzielnic, miasto zmieniło swój wygląd. Kończył się w nim okres pionierskiej improwizacji naznaczony inicjatywą i wysiłkami ludzi, którzy pomimo wszystkich trudności zdecydowali się żyć i pracować we Wrocławiu.

Dla wrocławskich chemików był to rok V Zjazdu Chemików Polskich, pierwszego jaki odbywał się po wojnie. Zgromadził on na początku września w salach Politechniki niemal wszystkich czynnych wówczas naukowo czy zawodowo chemików z całego kraju. Głównym organizatorem i przewodniczącym Zjazdu był profesor Trzebiatowski. Nic też dziwnego, że wszyscy jego współpracownicy byli zajęci od rana do wieczora najpierw przygotowaniami (ja zajmowałem się wyposażeniem sal w rzutniki), następnie zaś dyżurami na salach obrad. Miałem wówczas sposobność wysłuchania referatów i dyskusji koryfeusza polskiej chemii, znanych mi dotąd przeważnie tylko z lektury — Kamińskiego, Świętosławskiego, Zawadzkiego, Jakóba, Miłobędzkiego, Leśnińskiego i wielu innych. Nawet z dzisiejszej perspektywy oceniam ów pierwszy wrocławski Zjazd jako bardzo interesujący i udany pod każdym względem, łącznie z wieczorną recepcją w gotyckich salach Ratusza. Zjazd, na którym referowano także prace wykonane we Wrocławiu, świadczył niewątpliwie, iż pionierskie tworzenie tu od podstaw nowego ośrodka badań chemicznych w Polsce dobiega końca.

Może dwa dni po zakończeniu Zjazdu czytałem coś przy biurku w gabinecie Zakładu Chemii Fizycznej, gdy wszedł Trzebiatowski, któremu towarzyszył mężczyzna w sile wieku, o nieco wojskowej sylwetce, z przyszyżonym wąsem na wyraziście rzeźbionej twarzy. Pamiętałem ją z podium fizykochemicznej sekcji Zjazdu. Był to dr Kazimierz Gumiński, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spod krzaczastych brwi padało życzliwe, ale bardzo przenikliwe, spojrzenie, gdy Trzebiatowski przedstawiał mnie, jako jedyne na razie pracownika naukowego Zakładu, nowo mianowanemu Kierownikowi Katedry Chemii Fizycznej. Nie przeczuwałem nawet, jak bardzo fortunna okaże się ta nominacja i dla Katedry i dla mnie. Wiedziałem w każdym razie, że skończył się pewien okres mej pracy na Uczelni, okres przypadający jeszcze na czasy pionierskie.